Nr 19. Kraków, 13 Maja 1893. Rok III.

«KRAKUS» wychodzi w każdy Piątek wieczorem.

Administracya i Redakcya w księgarni «Spółki wydawniczej polskiej.»

KRAKUS

Prenumerata wynosi:

w Krakowie
rocznie . . 2 złr. 60 c.
półrocznie 1 » 30 »
kwartalnie — 65 »

z przesyłką pocztową
rocznie . . 3 złr. — c
półrocznie 1 » 50 »
kwartalnie — 75 »

pismo poświęcone sprawom politycznym i społecznym,

oraz nauce, rozrywce umysłowej i szerzeniu wiadomości pożytecznych.

Dzieje narodu polskiego.

Bolesław Chrobry.

(Ciąg dalszy).

Przyczyny do wojny z Pomorzanami. — Pomorzanie porozumiewają się z Prusakami i Polabianami. — Przygotowanie i wyprawa na wrogów.

A gdyby tak Pomorze podbić? Nieocenione byłyby stąd korzyści. Pogański ten naród, przyłączony do Polski, przyjąłby powoli Wiarę świętą: chwała Boża rozszerzyłaby się aż do morza, a z nią i granice Polski. Ubyłaby kula u nogi, na której trzeba się co chwila przewracać, a urosła moc i siła, bo na Pomorzu huk ludu pracowitego i zdatnego do wojska.

Jeżeli się tego nie zrobi, jeżeli się Pomorzan nie zagarnie, silny ten lud, z krwi i kości polski, pogaństwem Polskę zarażać będzie, w ciemnocie pogańskiej i sam zmarnieje i Polsce dźwignąć się nie pozwoli, bo nieprzyjaciele wiecznie go będą na Polskę podszczuwali, dopóki sami go nie zagarną, a z nim i Polski.

Więc, choć Bolesławowi rwało się serce na świat szeroki: na Ruś do Czech i dalej, wolał słuchać tego, co mu rozum mówił, aniżeli tego, co serce, i postanowił załatwić się najpierw z Pomorzanami. Nie zapisały nam dzieje wszystkich szczegółów tej wojny, ale najpewniej tak ona się odbyła.

Najprzód wyprawił Bolesław do Pomorzan poselstwo, żeby się dobrowolnie poddali i nie dopuszczali do rozlewu krwi bratniej. Tłómaczyli im posłowie, jakby to dobrze było, gdyby chcieli usłuchac monarchy polskiego, sami będąc Polakami. Ale kiedy wszelkie namowy i perswazye nie pomogly, wypowiedział im Bolesław wojnę, mówiąc im przez posłów swoich: „Niech się raz pokaże, kto ma panować, a kto słuchać; bo jak wszyscy panami być zechcemy, wszyscy na marność pójdziemy“.

Z tych słów poznali Pomorzanie, że wojna będzie krwawa, że jeżeli będą pobici, muszą porzucić swoich bogów z drzewa i kamienia, muszą pójść pod rozkazy Bolesławowe. Strach ich ogarnął wielki i w strachu tym wszystkich dokładali starań, żeby jak największe siły zgromadzić i Bolesławowi się oprzeć. Książęta ich (bo oni nie mieli nawet jednego pana, jak Polska, ale wielu) rozsyłali po kraju gońców, żeby się lud na wojnę gromadził. Płynęły z różnych stron tłumy wielkie. Po nocach widać było łuny wielkie od obozowych ogni. Wszędzie wrzawa ludzi, ryk bydła, rżenie koni.

Wróżbici, jak zwyczajnie u pogan, rozpowiadają o różnych znakach, jakie się nibyto pokazały, a wszystko tak, że bogowie pomszczą się na Polakach za wzgardę sobie wyrządzoną, za przyjęcie jakiejś nowej wiary, a dadzą zwycięstwo Pomorzanom. Żeby to zwycięstwo było tem pewniejsze, wyprawili Pomorzanie posłów i do *Prusaków*, co z drugiej strony Wisły za Gdańskiem mieli siedziby, i do tych krewniaków *Polabian*, co za Odrą rozległe ziemie posiadali. Wszyscy obiecywali z Pomorzanami stanąć i przeniewierców Polaków ukarać.

Bolesław wiedział dobrze przez szpiegów, co się tam na Pomorzu dzieje. Ufając w pomoc Bożą i lud swój, którego nie miał mniej od Pomorzan, bez obawy, ale z wielkim pośpiechem gotował się na wojnę. Chodziło mu o to, żeby wpierw w pole wyruszyć, zanim Pomorzanie uzyskają rzeczywiście przyobiecaną pomoc ze strony Prusaków i Polabian. Jakoż na rozkaz monarchy zgromadziły się wnet wojska i były gotowe do pochodu.

W polu odprawiła się Msza święta, której sam Bolesław słuchał z wielkiem nabożeństwem. Wielu żołnierzy odprawiło razem z monarchą spowiedź i przyjęło Komunię świętą. Byli i tacy, co przed tak straszną wojną, nie chcieli dawnych bogów gniewać, nie spowiadali się jeszcze i nie komunikowali, ale i ci ze skruchą Mszy św. słuchali, bo chcieli i Boga chrześcijańskiego mieć za sobą. Dziwić się temu nie można, bo Wiara św. nie mogła być wtedy jeszcze tak ugruntowana w narodzie, jak trzeba. Po Mszy św., ksiądz pobłogosławił wojska, dał monarsze krzyż do pocałowania i rzekł: „Bóg wszechmogący, w Trójcy świętej jedyny niechaj prowadzi was

szczęśliwie, da zwycięstwo nad złymi sąsiadami i przywiedzie was do domu na chwałę Bożą i pożytek ojczyzny naszej“.

Niedługo potem wojska otrzymały znak do pochodu. Miło było popatrzeć ną te wojska polskie: początek wnet zgubił się w poblizkich lasach, a końca trudno było się doczekać. Konnica, piechota, wozy z żywnością i rozmaite przyborami wojennemi, znowu piechota, znowu konnica i znowu wozy i rozmaity lud obozowy. Rycerze konni w blachy okuci, w żelaznych czapkach czyli hełmach na głowie, z ogromnemi mieczami u boku. Wielu z nich bywało w wojnach jeszcze za nieboszczyka Mieczysława. Niektórzy, kiedy wojny w Polsce doczekać się nie mogli, przebywali na dworach obcych monarchów i książąt i tam wyuczyli się rzemiosła wojennego. Takich żołnierzy nie mogli mieć Pomorzanie, bo jako poganie nie mieli nigdzie miru, ani przystępu. Piechotników tarczownikami wtedy nazywano, bo wszyscy mieli tarcze dla zasłony przed uderzeniami nieprzyjaciela, ale niejednako byli uzbrojeni. Jedni mieli tylko łuki do strzelania, bo wtedy broni palnej jeszcze nie było, i kołczany ze strzałami, drudzy dzidy długie z ostrem żelazem na końcu, inni maczugi ogromne gwoździami osadzone, inni jakieś topory na długich toporzyskach, inni blachy na piersiach jak rycerze, hełmy na głowach i miecze siarczyste u boku.

Stał Bolesław na koniu i patrzał na tę rzekę wojska. Choć jeszcze młody, ale już chłop tęgi, że się aż koń pod nim ugina. Oczy palą mu się, jak dwa ognie obozowe. Widać, że jak spadnie na wrogów, śmierć będzie kładła ludzi za nim i przed nim, jak kłosy na polu. Patrzy nieruchomie na te wojska swoje, na tych rycerzy i chłopów z Gniezna, Poznania, Kruszwicy, z Wielkopolski, Kujaw i Mazowsza. Nie widzi tylko nikogo z Małopolski, gdzie Kraków, i Rusi Czerwonej, gdzie Lwów, i Szląska, bo to wszystko w mocy wrogów. Serce mu się zakrwawiło, spojrzał ku niebu, spiął konia i jak wicher popędził za wojskiem.

(C. d. n.)

Z Rzymu.

Nie łatwo to pisać z tego Rzymu — chciałoby się wszystko opowiedzieć, jak to było, a tu ani głowy, ani czasu po temu, ale o Mszy św., którą za nas pielgrzymów miał JE. Kardynał Dunajewski Książę-Biskup Krakowski w kościele św. Piotra i o Beatyfikacyi, to jest o ogłoszeniu nowego Błogosławionego, to już koniecznie muszę napisać do *Krakusa*.

O Mszy najpierw.

Zgromadziliśmy się w kościele św. Piotra w niedzielę 16 kwietnia przed godziną 9, my wszyscy, którzy stoimy u księży w klasztorze św. Jana i Pawła, i ci od św. Marty, i kobiety i państwa się też dużo zgromadziło, a prawie wszyscy przystąpiliśmy do Komunii św. Podczas Mszy śpiewaliśmy nasze polskie pieśni, jakby to było u OO. Dominikanów lub Missyonarzy w Krakowie, a nie tu tak daleko w Rzymie. Miło było słyszeć w tej

Doskonałe lekarstwo.

Nad bystrym potokiem, jednym z dopływów Sanu, kilka staj za wsią Kamionką, stał przed laty okazały młyn, którego koła dzień i noc, bez przestanku huczały. Tuż przy młynie był piękny ogród z dużą pasieką, w ogrodzie ładny, murowany dom, za domem rozległe podwórze z porządnemi, gospodarskiemi budynkami, a dalej szmat urodzajnej ziemi, starannie, niby grządki w ogrodzie, uprawionej; wszystko zaś razem było własnością Mateusza Zucha, dzielnego młynarza, znającego swoje rzemiosło, punktualnego i sumiennego.

Z dalekich stron zwozili ludzie zboże do Mateuszowego młyna, bo tak pięknie jak Zuch nikt nie mełł, nie oddawał tak wiele mąki, która zawsze na przyobiecaną godzinę była gotowa. Młynarz Mateusz, wychowany w bojaźni Bożej przez pobożnych i rozumnych rodziców, dobrze wiedział, że nic tak nie przysparza chleba i mienia, jak rzetelność, pracowitość i słowność; trzymał się też tych cnót przez całe życie i dobrze mu z niemi było.

Ludzie opowiadali sobie, że oprócz tej majętności, którą każdy własnemi mógł oglądać oczyma, miał jeszcze Zuch sporo uskładanego grosza, umieszczonego już to w kasie na procencie, już też rozpożyczonego pomiędzy sąsiadami, bo młynarz uczynnym był bardzo, ale przecie nie płochym i lekkomyślnym. Mateusz nie rozbulał się łatwo, nie rozżalał i wiele nie obiecywał, lecz widząc prawdziwą potrzebę bliźniego, bez długiego gadania (bo kochał milczenie), nie proszony nawet, ratował jak i czem mógł; tylko dla próżniaków, pijaków i utracyuszów nie miał miłosierdzia, a że z pozoru wyglądał na zimnego i surowego człowieka, choć w istocie był gorączka wielki, tylko umiał nad sobą panować, przeto ludzie, mniej go znający, posądzali o twarde serce i skąpstwo.

Bliżsi jednak znajomi i sąsiedzi szanowali i kochali młynarza, a niejedni rodzice, mający dorosłe córki w domu, radziby go przyjęli za zięcia. A i dziewczęta nie spoglądały nań krzywo, bo trzeba wiedzieć, że Zuch był chłop wspaniałej postawy i wcale urodziwy; majątek zaś jego, statek, pracowitość i gospodarność niemałego mu też dodawały powabu.

największej świątyni katolickiego świata dźwięk naszych polskich słów i śpiewów. Rozlegała się po kościele „Twoja cześć chwała“, na końcu były Supplikacye: „My grzeszni prosimy, Przepuść nam, Wysłuchaj nas, Zmiłuj się nad nami“. A między temi dwoma śpiewało się: „Bądź Pozdrowiona“. Prawie na płacz się zbierało, słysząc w tem sławnem i świętem miejscu piękne słowa tej pieśni: „Pospiesz się Panno ze swoją obroną“. Oby były usłyszane tam na górze! Po mszy świętej Ksiądz Kardynał w krótkich ale gorących słowach kazał nam podziękować Panu Bogu za łaski doznane, polecił wierność Kościołowi św. i zgodę między nami — ej, to czasem nie łatwo o tę zgodę, wiem coś o tem — i zakończył modlitwą za braci naszych prześladowanie cierpiących i za tych, co ich prześladują, żeby się nawrócili i spokój im dali, a potem odprowadziliśmy Księdza Kardynała aż do zakrystyi, a ludzie inni patrzyli na nas i pytali się, co to za jedni, co swego Kardynała mają. A potem co sił na górę, do tej wielkiej sali, urządzonej jak kaplica, a duża jak ogromny kościół, gdzie się odbywała Beatyfikacya.

Sala już była pełna jak na odpuście, ale na odpuście człowiek umie sobie poradzić, to i tam udało się wejść. Co tam światła rzędem naokoło sali i na ołtarzu, a nad nim duży obraz, jeszcze oponą zasłonięty, wymalowany na cześć nowego Błogosławionego. Z obydwóch stron ołtarza dygnitarze kościoła, 9 kardynałów w purpurze, dużo biskupów we fioletach i przełożeni OO. Jezuitów, bo nowy Błogosławiony był Ojcem Jezuitą, nazywał się Antoni Baldynuki, był Włochem, i żył przeszło 160 lat temu, a od młodości życzył sobie być wysłanym do takich krajów, gdzie jeszcze nic nie wiedzą o Wierze świętej. Tymczasem przełożeni wysyłali go raz po raz do wsi okolicznych Rzymu, do takich, co choć ochrzczeni katolicy, żyją jak pogany — i u nas-by się takich znalazło, nie wymieniając nikogo, bo to się nie godzi — a on kazał i spowiadał i kazał i spowiadał i tak całe życie przez posłuszeństwo święte, choć mu się zawsze marzyło o tych dalekich krajach, gdzie ludzie jeszcze nie znają Pana Jezusa, a tak był miły Panu Bogu, przez te swoje cnoty, gorliwość i posłuszeństwo, że i dużo nawrócił ludzi za życia i że go Pan Bóg uczcił po śmierci kilkoma cudami, o czem wszystkiem jeden z biskupów czytał z ambony, a to się nazywa Akta Beatyfikacyi. Te dwa cuda były wymalowane na chorągwiach: na jednej uzdrowienie kanonika z ciężkiej febry, a w tych krajach są one często śmiertelne, na drugiej uzdrowienie kobiety z wrzodów wewnątrz jelit, gdzie już i gangrena była się wdała, a obie za przyłożeniem jego relikwij na chorych. Potem jeden z kardynałów w zastępstwie Ojca św., przed samą Mszą świętą zaintonował: *Te Deum laudamus* i zaczął z kadzielnicą chodzić koło ołtarza, a przez ten czas opona spuszczała się powoli i obraz Błogosławionego, klęczącego w chwale niebieskiej, ukazała się po raz pierwszy ponad ołtarzem wśród pieśni pobożnych i kłębów dymu z kadzielnic, jakby wśród obłoków. Mój Boże, jeżeli tu na ziemi tak pięknie, to cóż dopiero w niebie — ale trudniej się tam dostać, niż do Rzymu, bo trzeba po drodze wszystkie swe złe nałogi ominąć, a to nie łatwo.

Tak więc nasz młynarz był szczęśliwym człowiekiem, miał wszystko, co ludzie dobrem zowią, brakło mu jeno gospodyni. Właśnie 21 września, w sam dzień swego patrona św. Mateusza apostoła, skończył Zuch lat trzydzieści pięć, więc pomyślał sobie, uderzywszy w stół dłonią:

— No, czas na cię, bracie! Trzeba szukać żony. Mam dom, majątek, lata, jeno gosposi nie ma, a bez niej w chałupie nijak. Trzeba się rozglądnąć.

I jak rzekł, tak zrobił. Jął się rozglądać najpierw w Kamionce, potem, przez trzy niedziele, w bliskiem miasteczku, gdzie była parafia, uważając wychodzące z kościoła dziewczęta.

Najbardziej udała mu się Józefowa Tereska z Kamionki. Była ona córką zamożnego gospodarza, więc miała odpowiedni majątek do młynarzowego, urodziwa też była w sam raz, pobożna i pracowita, wesoła i rozmowna, a miała lat dwadzieścia dwa, więc wiek do zamążpójścia najodpowiedniejszy, bo ni za młoda, ni za stara.

Rozważywszy sobie to wszystko Mateusz, zawołał uradowany:

— A to jakby dla mnie stworzona kobieta — i posłał do Józefów swatów.

Józefowie nie mieli nic do zarzucenia młynarzowi, a policzywszy wszystkie jego przymioty i zalety uznali, że spokojnie mogą mu powierzyć szczęście córki. Tereska byłaby wolała, co prawda, męża młodszego, rozmowniejszego i weselszego, lecz gdy pomyślała, że wszystkich przymiotów nie ma nigdy w jednym człowieku, zgodziła się chętnie na żądanie Mateusza i w zapusty odbyło się sute wesele.

Było tam w Kamionce trochę zazdrości i gadania, aleć w końcu musieli przyznać wszyscy, że o dobrańszą parę, jak Mateusz i Tereska, trudnoby było.

Młoda gosposia, sprowadziwszy się do młyna, zajęła się ochoczo i pilnie gospodarstwem; wnet też nastał lepszy ład i podrządek, czeladź była zadowolona, a młynarz rad okrutnie, bo to i mienia przybywało z zapobiegliwą gospodynią i raźniej było w chałupie z wesołą i mowną kobietą.

Minęła wiosna i lato, nastała już jesień, a u młynarzy tak zawsze było wesoło, jak w pierwszy tydzień po ślubie.

Po południu nieszpór, tym razem sam Ojciec św. miał być na nabożeństwie i znowu pełno światła i śpiewy cudowne. Ścisk okropny — pomimo, że nie było łatwo się dostać, ale naszym się udało. W różnych kątach sali było widać białe sukmany i słychać polską mowę, że aż się serce radowało i tak np. przyprowadza jeden z urzędników papieskich dwie panie do ławki, obok której stałem; one dziękują mu po włosku, a ja się gapię, jak na obce, a tu jedna z nich zaczyna. „Niech będzie pochwalony", zkąd jesteście? — Z pod Krakowa — ja także — odpowiada pani — a ja sobie myślę: mój Boże, tak to człowiek z człowiekiem może nigdy się nie spotkał na Rynku choć na wieżę Maryacką całe życie patrzy, aż tu dopiero w Rzymie się dowiaduję, że pod nią jeden od drugiego o pół mili siedzą. A tu znów Niemcy witają się z Niemcami, a Angliki z Anglikami, bo tam coraz więcej katolików, a Francuzi z Francuzami itd., a wszyscy się tu czują jak w domu, bo są w gościnie u Ojca swego. Pośrodku sali stoi szpaler z tej gwardyi papieskiej, co ubrana żółto, czarno i czerwono, a nie pstrokato pomimo tego i pilnuje miejsca dla procesyi. Naprzód idą długim szeregiem oficerowie tej gwardyi w paradnych mundurach, potem urzędnicy papiescy w czerwonych aksamitach, potem kanonicy, za nimi biskupi we fioletach i komżach, a potem kardynałowie parami, a pomiędzy nimi dwóch Polaków: nasz Książę Biskup Krakowski i były Arcybiskup poznański Ksiądz Kardynał Ledóchowski, ten co go dawniej Bismark do więzienia wtrącił i ze swej dyecezyi wygnał, a Ojciec św. go przywołał do Rzymu i w swoim pałacu ugościł, aż go zamianował naczele Propagandy, to jest kancelaryi wszystkich Missyi do rozszerzania Wiary, a ci dwaj nasi Kardynałowie najpiękniej wyglądali ze wszystkich, tak wzrostem jak i całą postawą. Wtem się rozlega jak grzmot w oddali wiwat i przybliża się coraz bardziej, bo ten naród tutaj, czy się śmieje, czy się smuci, czy się gniewa, czy się cieszy, to zawsze krzyczy i wymachuje rękami na wszystkie strony. To Ojciec święty w białej sutannie idzie zgarbiony, ale dość szybko, idzie błogosławiąc, a po drodze głowy się schylają jako łan pszenicy.

Kto potem szedł, nie widziałem, bo mi się jakoś łzy zakręciły w oczach. Ojciec św. pomodliwszy się przy ołtarzu, zaczął odmawiać głośno Różaniec i wszyscy mu na głos wtórowali, każdy w swoim języku, a jakoś dziwnie w jeden dźwięk wszystkie się głosy zlewały i każdy wiedział, co kiedy przypada. Wszystko to tak w naszym Kościele — czy wiara, czy nabożeństwo, jedna wielka jedność w całym świecie, to też w jakimbykolwiek był człowiek kraju, w kościele, jak u siebie się czuje, tylko po za nim obco. Po odmówieniu Różańca, błogosławieństwo Przenajświętszym Sakramentem przy śpiewach cudownych jak nigdy nie słyszałem i nie usłyszę na ziemi, a po nabożeństwie jak Ojciec św. zaczął odchodzić od ołtarza błogosławiąc, jak przy wejściu, to znów się rozległy wiwaty, ba jeszcze głośniej, niż poprzednio, a jak siadł na to swoje krzesło i jak go ponieśli przez dwie sale i schody napełnione ludźmi, co się dalej docisnąć nie mogli, to ci znów zaczęli się garnąć do niego i tak otoczony i błogosławiący, unosił

Ale niespostrzeżenie zbliżał się cios, który miał zburzyć szczęście Tereski i jej męża.

Zuch, oprócz powierzonego sobie przez ludzi zboża, mełł jeszcze wiele własnego i zakupionego ziarna dla handlarzy i piekarzy. Zdarzyło się jakoś w jesieni, że zakupił znaczny zapas zboża od kilku gospodarzy w miasteczku. Dobiwszy targu, wciągnęli gospodarze młynarza na litkup. Zuch poszedł dość chętnie, bo interes zrobił dobry; towarzystwo było wesołe, zabawił się więc nieco dłużej, niż zamyślał, i podpił się trochę. Pomiędzy zebranymi był też w szynkowni handlarz mąki i krupów rozmaitych, który niedawno osiadł w miasteczku. Zrobił więc znajomość ze Zuchem, a obiecał jeszcze zrobić interes, to jest brać potrzebny mu towar od Mateusza.

Gdy młynarz spostrzegł, że już ma dość na dzisiaj, jął się wybierać do domu, a handlarz postanowił go odprowadzić, aby się zaraz przekonać, jaką też mąkę i krupy ma na sprzedaż. Nowi więc znajomi, gawędząc wesoło i zataczając się nieco, udali się do Kamionki.

Tereska, ujrzawszy męża w stanie, w jakim go nigdy jeszcze dotąd nie widziała, przelękła się nie żartem, ale, że była z niej niewiasta energiczna i odważna, wnet się opamiętała i szepnęła sobie w duszy:

— O, braciszku, tak ty to potrafisz? Trzeba ino zaraz z góry dać ci dobrego kaptura, iżbyś częściej tak nie uczynił.

Udawszy tedy wielce rozgniewaną, jęła srogie robić mężowi wyrzuty. Mateusz uśmiechał się zrazu i łagodził żonę, ale gdy ta coraz bardziej się sierdziała, rozzłościł się okrutnie, zwłaszcza gdy handlarz zaczął się z niego wyśmiewać, a zręcznie przeciw młynarce podjudzać, więc krzyknął z uniesieniem:

— Zmilcz, babo, pókim dobry! Cóżem to twój parobek? Czy cię mam prosić o pozwolenie, jak chcę wypić za moje trzy grosze?

Tereska uderzyła w płacz i lamenta, a mąż trzasnąwszy ze złością drzwiami poszedł z handlarzem do młyna, a później do karczmy, gdzie nigdy nie chodził i siedząc do północy pił na złość żonie bez miary.

Tak się zaczęło nieszczęście Zuchów. Trudno uwierzyć, a przecie to szczera prawda, że w rok później był już z Mateusza nałogowy pijak, klątewnik,

się ponad nami, aż znikł za dużą kotarą drzwi, prowadzących jeszcze wyżej, do swoich, jak mi mówiono, bardzo skromnych pokoi.

Już nic nie potrafię napisać z Rzymu, może kiedyś jeszcze co opowiem czytelnikom *Krakusa* i o innych świętych miejscach, gdzieśmy byli po drodze, jak ochłonę trochę i poporządkuję sobie w głowie, ale to już chyba po żniwach i po siejbie.

Kazimierz Brodziński.

Mówiliśmy już, opisując zeszłego roku życie i dzieła Jana Kochanowskiego, że my Polacy tak, jak inne oświecone narody, mamy piękną i bogatą literaturę, to jest zbiór dzieł pisanych wierszem i prozą; mówiliśmy dalej, że już przed trzystu laty, za czasów króla Zygmuta Augusta, kiedy to żył Jan Kochanowski, język nasz polski rozwinął się wspaniale, że slawni poeci i prozaicy znakomite pisali dzieła, które dziś jeszcze z przyjemnością i pożytkiem czytać możemy.

Ale w następnych wiekach, gdy na biedną Ojczyznę naszą przyszły straszne klęski wojenne, zaburzenia i niepokoje, podupadła polska literatura, czyli piśmiennictwo. Byli wprawdzie zawsze pisarze piszący już to prozą, już to wierszem, lecz do języka polskiego mięszali ulubioną Polakom łacinę, czem bardzo szpecili język polski, który coraz więcej był zaniedbany i psuty.

Lecz za ostatniego króla polskiego Stanisława Augusta zaczęto lepiej pisać po polsku, a pisarze i poeci, zapatrując się na starożytną poezyę grecką i mowę francuską, język polski wydoskonalili, doprowadzając go do niezwykłej świetności. Ale chociaż pisano tak pięknie, chociaż zewnętrzna forma, jakoby szata poezyi była wspaniała i świetna, to przecież wewnętrzna wartość nie odpowiadała w zupełności tej prześlicznej szacie.

Dopiero w pierwszej połowie XIX wieku, to jest wieku, w którym obecnie żyjemy, nadszedł czas najwspanialszego rozwoju polskiej literatury, czyli piśmiennictwa. Zjawił się wielki, sławny po wszystkie czasy poeta i wieszcz narodowy Adam Mickiewicz, który porzucił przestarzałe formy i obce wzory, a do dzieł swoich jął czerpać treść z dziejów własnego narodu, z podań i poezyi ludowej; czuł on wieszczym swym duchem, że wśród prostego ludu polskiego kryją się nieprzebrane skarby poezyi, czekające tylko na rękę, któraby je wydobyła. Adam Mickiewicz stworzył więc prawdziwą poezyę narodową i do najwyższej podniósł ją potęgi.

Ale dziś nie jego życie i dzieła chcemy dać poznać Czytelnikowi, lecz pragniemy zaznajomić Go z innym, skromniejszym i mniej sławnym poetą, który przecież uważany jest za zwiastuna tego świetnego odrodzenia poezyi polskiej, który pierwszy przeczuł i zrozumiał, gdzie prawdziwie narodowi pisarze szukać mają treści do dzieł swoich. Tym zwiastunem nowej poezyi i poprzednikiem nieśmiertelnego wieszcza Adama Mickiewicza jest Kazimierz Brodziński, człowiek pełen

---

próżniak, marnotrawca, który dzień w dzień przesiadywał w miasteczku w szynkowni, albo w karczmie w Kamionce. A zawsze w towarzystwie owego handlarza mąki, łotra z pod ciemnej gwiazdy, który, jak zły duch, kręcił się ciągle około młynarza, pijąc za jego pieniądze i ogrywając niebacznego w karty.

Ludzie wydziwić się nie mogli, co się z Mateuszem stało, jak on, nie znoszący pijaków i hultai, sam się stał takim; spędzili więc wszystko na owego handlarza.

Tereska, łamiąc ręce i wyrywając sobie włosy, sądziła taksamo, jak wszyscy, i nazywała handlarza rozbójnikiem, mordercą swej doli i złodziejem swego majątku. Ani przez myśl nie przeszło niebodze, że ona sama akurat tyle była winna swojemu nieszczęściu, co handlarz, a może nawet jeszcze więcej. Ile razy Mateusz przyszedł do domu podchmielony, Tereska rozpuszczała buzię, jak cierlicę, i tak długo wygadywała, co tylko jej ślina na język przyniosła, aż mąż zniecierpliwiony uciekał do karczmy i pił na zalanie robaka, bo niebaczna kobieta sądząc, że krzykiem pijaka nawróci, nie dała mu spokoju we dnie ni w nocy.

Nakoniec przyszło do tego, że Mateusz, chcąc poskromić złośnicę, jak nieszczęśliwą żonę nazywał, chwytał za kij i okładał nim bez miłosierdzia Tereskę.

Biedaczce serce pękało z boleści, boć ona, jeżeli klęła i wyzywała, nie na to, aby mężowi dokuczyć, lecz, aby go ze złej drogi sprowadzić.

Tymczasem gospodarstwo upadało coraz więcej, Zuch zaczął robić długi i byłby niechybnie poszedł z torbami, gdyby nie usilna praca i zapobiegliwość Tereski, a uczciwość i pilność czeladnika, który młyna pilnował.

Dwa lata już minęły od pierwszej znajomości Mateusza z handlarzem, gdy ten straciwszy wszystko, co miał, i narobiwszy moc długów, umknął z miasteczka i przepadł jakby we wodę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

cnót i szlachetności, rozmiłowany w ojczystej mowie, którego największą zasługą jest, że wskazał źródła, z których się miała odrodzić polska poezya.

Kazimierz Brodziński urodził się w Galicyi, we wsi Królówce, w roku 1791. Małym jeszcze był chłopięciem, gdy mu matka umarła. Ojciec Kazimierza był to człowiek zacny, najlepszy pan dla ludu, ale trochę słaby, dający nad sobą przewodzić drugiej młodej żonie, którą pojął po śmierci pierwszej.

Teraz, gdy macocha weszła w dom, zaczęły się lata smutku dla małego Kazimierza, bo macocha niewiele dbała o niego.

Mały sierota przebywał więc pomiędzy czeladzią w kuchni, tułał się po lasach i polach, wśród ludu wiejskiego, do którego garnął się całem sercem, słuchał opowiadań i śpiewek wieśniaków, z pastuszkami całe dni i noce przepędzał na pastwiskach i w lesie, w pięknej okolicy Murowanej Lipnicy, dokąd się ojciec jego w tym czasie przeprowadził. To przestawanie z naturą, wśród drzew, kwiatów i ptasząt, to ciągłe obcowanie z prostym, a pełnym uczucia i poezyi ludem wiejskim, rozbudziło w sercu Kazimierza złożony tam przez Boga talent poetycki i wskazało mu, gdzie szukać natchnienia, zkąd czerpać treść do swych przyszłych utworów.

Gdy Kazimierz podrósł, ojciec oddał go do szkoły, ale i tu znosił ciągłą biedę, tem więcej, że stary Brodziński umarł niebawem, a to, co dzieciom zostawił, nie starczyło na długo.

W czasie, gdy Kazimierz chodził do gimnazyum w Tarnowie, uczono tam głównie po niemiecku; wyuczył się też doskonale języka niemieckiego, tak, że mógł poezye niemieckie tłómaczyć na język polski. Jeden z przetłómaczonych wierszy spodobał się bardzo profesorom, więc chcieli zdolnemu uczniowi wyrobić miejsce w sławnej Terezyańskiej szkole we Wiedniu. Ale wtem nadszedł rok 1809; młode, pełne miłości ojczyzny serce studenta, wyrywało się do wojska polskiego, które w tych czasach biło się za obcą sprawę, lecz zawsze w tej myśli, że dla niej krew przelewa. Młody Brodziński nie wytrzymał długo; pewnego wieczora wraz z drugim kolegą uciekł za granicę do Księstwa Warszawskiego i został żołnierzem.

W ciągu lat czterech walczył i bił się Brodziński w różnych stronach Europy, w roku 1812 odbył także sławną wyprawę do Moskwy, a następnego roku w pamiętnej bitwie pod Lipskiem, gdzie to sprzymierzone wojska pobiły Napoleona I., dostał się Kazimierz do niewoli pruskiej.

Po wyjściu z niej w roku 1814 osiadł w Warszawie i oddał się zupełnie pracy naukowej. Najpierw dawał lekcye prywatne literatury polskiej, później został profesorem przy najwyższej szkole w Warszawie.

Całe życie Brodzińskiego odznaczało się nadzwyczajną pracowitością, szlachetnością, skromnością, prostotą i wielką uczciwością. Lecz niestety praca i trudy podkopały jego zawsze delikatne zdrowie; już w roku 1826 polecili lekarze cierpiącemu poecie podróż do Włoch; zwiedził więc Włochy i Szwajcaryę, ale po powrocie do Warszawy znowu mu się pogorszyło. Leczył się później u wód w Czechach, jednakże zawsze napróżno; coraz był słabszy i chorszy, aż dnia 10go października roku 1835, szukając polepszenia zdrowia za granicą, zakończył Brodziński życie w Dreźnie, pozostawiając żonę i jedną córeczkę sierotą. W ostatnich jeszcze chwilach życia myślał o oddalonej Ojczyźnie, której tak dobrym był synem. *(C. d. n.)*

Dumania Walentego.



Ja najwięcej wtedy myślę, jak od roboty idę, albo do niej. Można i przy robocie także, ale nie przy każdej. Kum Roch jak się przy ciesielce zamyślili, kiedyśmy po ogniu stawiali dom Kazimierzowi Majce, bachnęli siekierą w nogę i trza było ich wieźć do doktora. Ot, nieszczęście!

Gorsza rzecz, że w tym roku nie wiadomo, czy będzie co zbierać. Zimnisko, słota, że strach. Ha! na wszystko wola Boża. Słyszałem niedawno i takiego, co się z woli Bożej naśmiewal. Byłbym pewnie z bezbożnikiem przyszedł do jakiej okazyi, jak już raz przyszedłem, ale w tej chwili nadbiegł mój chłopak, że mnie do rady gminnej potrzebują, więc poszedłem w swoją stronę, a bezbożnika zostawiłem z takimi, jaki on sam.

Smutna wiosna! Ale i między ludźmi nie wesoło.

Wrą jedni na drugich, a już i między nami włościanami niezgoda zasiana. Wynaleziono już pańskich i nie pańskich chłopów. Ci, co nas nazywają pańskimi, są właśnie pańskimi, a mianowicie takich panów, co się z woli Bożej naśmiewają. Przypomina mi to drogę do Bochni.

Byłem tam w interesie brata. Niedaleko to od Krakowa, bo tylko godzinę jechałem koleją. Załatwiłem, co miałem załatwić, i idę do fabryki miejskiej, gdzie mielą gips, bom był ciekawy, jak to wygląda. Idę wązką uliczką i spotykam kapliczkę zrąbaną siekierami jeszcze w czasie rabacyi. Mrowie mnie przeszło od stóp do głowy. Myślę sobie: „Z jakiem sercem wy nieboraki w chłopskich sukmanach tędy przechodzicie?“

Obejrzałem fabrykę i wróciłem na kolej. Miałem prosto do Krakowa jechać, ale spotkałem się ze znajomym gospodarzem z Gierczyc. Gierczyce to nieduża wieś koło Bochni, ale tam znajdziesz gospodarzy takich, że i w krakowskiej ziemi musiałby mieć każdy przed nimi respekt. Tak on mi powiada: „Wysiądźcie, Walenty, w Podłężu, choć na godzinkę i pójdźcie zobaczyć stary klasztor PP. Benedyktynek w Staniątkach! Wy w krakowskiej ziemi, co prawda, wiele ładnych rzeczy co dzień widzicie, ale i u nas, chwała Bogu, jest na co popatrzeć“.

Zrobiłem tak, i Staniątki oglądnąłem. Śliczny stary klasztor! w kościółku jak w niebie! Trafiłem na Mszę św., a odprawiał ją jakiś dość wysoki, miły księżaszek. Było ludzi dość, a najwięcej małych dziewcząteк, co je tam Zakonnice wychowują i uczą. Zakonnic nie widziałem, bo były na chórze, a ten jest mocno zakratowany; tylko ich śpiew słyszałem. Mój Boże! co to za śpiew, co to za śpiew! Niby prosty i nieuczony, a człowieka aż za serce targało.

Po Mszy św. przybliżam się do człowieka z waszecia ubranego i proszę go, żeby mi co pokazał. Pokazał mi dużo ładnych i ciekawych rzeczy. Tylko do środka klasztoru nie wolno wejść mężczyznie, tak od furty musiałem się wrócić. Ale patrzę na drzwi, a tu znaki siekiery. Pytam się, skąd się to wzięło? Patrzy na mnie on z waszecia ubrany i jakoś nie chce powiedzieć. Domyśliłem się, że mu moje chłopskie ubranie język spętało, tak powiadam: „Pewnie to po rabacyi?“ „A tak!“ powiada. A ja mu na to: „Mógłbym powiedzieć, że żaden Krakus tem błotem się nie powałał, ale i innych muszę obronić, bo oni też tego po swoim rozumie nie zrobili“. „A święta, święta prawda!“ — odpowiedział on człowiek z waszecia i za rękę mnie ścisnął.

Podziękowałem mu za grzeczność i powlokłem się zwolna do kolei. Wsiadłem niedługo potem i jadę, a różne myśli chodzą mi po głowie, jak koła we młynie. Za małą chwilę zobaczyłem nasz kochany Kraków, a przy nim kopiec *Kościuszki*. Ha! myślę sobie, przecież my chłopi nie tylko byliśmy na rabacyi, byliśmy przecież i z panem Kościuszką pod Racławicami i zdobyliśmy na schyzmatykach dwanaście armat. Wie o tem cały świat, bo to namalował nasz sławny, polski malarz *Matejko*. Jedno honor i sława, drugie wstyd i hańba. W jednym i drugim wypadku szliśmy za panami. Różnica jeno ta, że do Kościuszki zaprowadzili nas ci, co miłość wszystkich stanów między nami szerzyli, a do wstydu i hańby ci, co nienawiść głosili. Dzisiaj ci, co zgodę głoszą, zakładają z nami Kółka rolnicze, sklepiki chrześcijańskie, Czytelnie, i Bóg wie, jak sobie nad tem głowy łamią w radach i sejmach, żebyśmy się wszyscy z biedy wydobyli, bo to dziś największy nasz wróg; ci drudzy niekiedy koło Czytelń i sklepików też się kręcą, ale poznać ich po tem, że z woli Bożej się naśmiewają i nienawiść szczepią, a najczęściej o wyborach mówią i o tem, jakby co drugiemu bratu wydrzeć, a nie robić....

Zadumałem się, a tu już na *Anioł Pański* dzwonią....

Moja podróż po Galicyi wschodniej.

VI.

Ku Zaleszczykom jechałem bukowińskim brzegiem. Spotykałem się tu z Bukowińczykami ciągle. Od strony Galicyi zamieszkują Bukowinę najliczniej Rusini schyzmatycy i ci mówią po rusku, jak nasi w Galicyi. Mają dużo cerkwi i popów z brodami, zazwyczaj Rumunów, którzy ich chcą przerobić z ruskiego na rumuńskie. Rusinów Unitów jest tu mało, tyle prawie co i Polaków; ale Polacy, choć chłopi, noszą się z miejska i nazywani są przez inne narodowości „szlachcicami“. Dzieje się to pewnie dlatego, że nasi Polacy, którzy tu osiedli porządnie gospodarzą, mają się lepiej i nie piją po karczmach ze schyzmatykami. Schyzmatycy są tu nieokrzesani, na pół dzicy, noszą długie włosy, robić nie chcą we dworze za pieniądze tylko za trzecią kopę kukurudzy, lub dziesiąty snop. Gdy sobie nazbierają trochę ziarna i ziemniaków, siedzą w domu, jedzą, piją i na zarobek dalej nie idą. Trzymają się schyzmatycy razem, jeden drugiemu pomaga przeciw katolikowi. Ale żydzi licznie tu zamieszkali, umieją ich wyzyskiwać. Schyzmatyk ma największy respekt przed żandarmem, bo ten go może wziąźć do kozy, zresztą nie boi się nikogo. Ormiańscy panowie mówią po polsku, są katolikami i dobrzy ludziska. Z robotnikami mają kłopot, jak pierw wspomniałem, więc służbę mazurską chętnie przyjmują do siebie.

W jednej karczmie zeszedłem się ze schyzmatykami Rusinami. Mówili mi oni, że ich niedawno nama-

wiali, aby przyjęli unię, jak ich bracia w Galicyi, i aby mogli razem z Polakami modlić się, jedni chodziliby do kościoła, drudzy do cerkwi, jak to jest w Galicyi. Ta, im tam wszystko jedno, religii swej nie rozumieją, katechizmu nikt im nie wkłada w mózgownicę, więc nie rozumieją tego, co prawdziwa wiara. Wiedzą tyle, że pop ma w niedzielę Mszę św. odprawić, ochrzcić dziecko, a umarłego pochować. Więcej nic obchodzi ich nic.

— Czemuście nie wyrzekli się schyzmy? — pytałem.

— Ha no, przyjechał do nas jeden i drugi pop, zaczęli nam tłumaczyć, że schyzma lepsza od unii, dlatego, że tańsza; że ładniej, gdy pop nosi brodę, aniżeli gdy ją katolik unita goli, że gdy wojna będzie z moskalem, to schyzmatyk każdy dostanie rubla, a unita nic, no więc my zostali przy schyzmie.

Głupie ludzie, pomyślałem sobie. Oświaty nie mają, więc nie warto, abym ich pouczał o ich błędach i głupocie schyzmatyckiej. Lepiej zrobię, gdy się pospieszę do Galicyi, bo tam jakoś mi więcej swojsko i czuję się niby u siebie w domu. A na Bukowinie czuć obczyznę.

Spieszyłem więc ku Dniestrowi, który odgranicza Bukowinę od Galicyi z drugiego boku. Ucieszyłem się też bardzo, gdy zdaleka zobaczyłem sine wody Dniestru, płynącego w głębokim jarze. Siny on był, bo był czas pogodny, ale częściej on mętny, bo płynie czarną ziemią, rozlewa się we wielu miejscach po pastwiskach i ucieka szybko na południe przez Rosyę do morza Czarnego. W Galicyi ostatnia jego meta jest w okopach ŚŚ. Trójcy, gdzie to my Polacy mieliśmy pierw warownie.

Długo szedłem bukowińskim brzegiem Dniestru, bo nijak się było przedostać na drugą stronę rzeki. Udało mi się przeprawić dopiero pod Zaleszczykami. Okolica Zaleszczyk leży na ostatnim krańcu południowym Podola Galicyjskiego. Położenie ma nader szczęśliwe. Zasłonięta od północnych wiatrów nachyloną jest ku południowi, tak, że ją ogrzewa słoneczko bardzo silnie. Dlatego to roślinność tu buja na urodzajnej ziemi, a w czystem polu udają się winogrona, które żydki rozwożą po miasteczkach podolskich, jako pochodzące z Węgier. Owoce rosną tu najdorodniejsze z całej Galicyi. Brzoskwinie i morele nigdzie u nas nie urosną tak duże, jak w Zaleszczyckiem. Okolicę tę można nazwać galicyjskiemi Włochami, bo wszelkie delikatne owoce, jakie rosną we Włoszech i tutaj się udają. Ogrodnicy i ci, co lubują się w sadach, robią na owocach dobre interesa. Sprzedają drogo owoce, bo są ładne i duże, sprzedają także szczepy i sadzonki ulepszonych gatunków śliwek, gruszek, moreli i winogron. Kto chce sprowadzić sobie krajowe gatunki, niech pisze do Zaleszczyk.

Od Zaleszczyk puściłem się na prawo w powiat Borszczowski, do granicy rosyjskiej. Nie chciałem iść w jednym kierunku, bo nie poznałbym wiele kraju, a mnie chodziło o to, abym miał o Podolu naszem dokładne wyobrażenie, więc postanowiłem chodzić po niem w rozmaitych kierunkach,

Otóż idę sobie i idę, i napatrzyć się nie mogę tej ziemi. Bo to nie mienia się ona tak jak w mojej okolicy, co to tu piasek, tam łach gliny, tam pas sędziny. Co wieś to inna gleba, i inaczej połyska do słońca. Tu nie tak. Czarna ziemia tu, czarna ziemia tam; w tej wsi czarnoziem, w drugiej wsi czarnoziem, i w trzeczej i czwartej i tak ciągle. Lasów spotkałem nie wiele, a te, które są, są liściaste: dęby, graby i buki. Sosny ani na lekarstwo. Dopiero około Bilcza Złotego spostrzegłem gaje świerkowe i sosnowe w polu sadzone niedawno. Pytam się, kto to posadził? Odpowiadają ludzie: Książę Leon Sapieha. Jakiś to mądry pan, pomyślałem sobie, z takim kosztem postarał się o wprowadzenie w tych okolicach drzew szpilkowych.

Trzeba wam wiedzieć, że właśnie droga mi wypadła przez majątek księcia Sapiehy. Ma on pałac w Bilczu Złotym i ztamtąd zarządza licznemi włościami, które się wokoło rozłożyły. Piękny to majątek, prawdziwie *złoty*, bo czarna jego ziemia rodzi dużo złota. Ale bo też i młody książę Leon umie dobrze gospodarzyć i wszędzie znać jego pracę i zamiłowanie swego kraju. Ludziska w jego wsiach dużo mają z niego pomocy i pociechy. Zaszanowanych lasów spotkałem tu dużo. W polu czystem natknąłem się na kilka morgów zasadzonych winogronami. I tu jeszcze ciepło dochodzi, więc książę troskliwie stara się o to, aby dobrze chodzono około winogradu i robiono w jesieni wino. Zawsze ono lepsze, choć galicyjskie, od fałszowanych win, za które płacimy drogie pieniądze. Pasieki wielkie założył książę Leon*) w swych dobrach, to zachęciło ludzi po wsiach, że sobie także około domów porobili pasieki. Mądra to rzecz, bo miód zastąpi gospodyni cukier, a trunek zrobiony z miodu, lepszy dla gospodarza od wódki lub piwa.

Dobrze się wam tu dzieje, ludzie, powiedziałem gościnnym ziemianom, ale mnie w drogę czas, więc was żegnać muszę i spieszyć dalej. *Jan.*

Wiadomości polityczne.

Sejm nasz obraduje dalej i załatwia dziennie bardzo wiele spraw. Prócz tych, o których *Krakus* już pisał (a podaje tylko najważniejsze, a mianowicie te,

*) Kiedy Jan podróżował, książę Leon Sapieha żył jeszcze, w zimie b. r. zmarł na tyfus. Ogromną przeto stratę poniosły okoliczne gminy, gdyż dla wszystkich był ojcem. Cześć jego pamięci!

które dotyczą całego stanu włościańskiego), weszła teraz na porządek dzienny sprawa szkół krajowych. Wielu posłów wyraziło życzenie, żeby szkoły wychowywały młodzież w duchu katolickim i narodowym polskim, a zarazem uznanie dla Rady szkolnej krajowej, że coraz więcej kładzie na to nacisku. Poseł p. Potoczek i kilku innych przedstawiło wniosek, żeby założyć dla włościan bank rentowy, o czem już przedtem pisały gazety, a między niemi katolickie pismo *Czas*.

Na Węgrzech *masoństwo* poniosło porażkę. Oto magnaci węgierscy wypowiedzieli otwarcie, że wszelkiemi siłami będą się opierali uchwaleniu praw, wrogich Kościołowi katolickiemu.

W *Niemczech* wrzawa wielka, bo cesarz Wilhelm II-gi rozwiązał Radę państwa i nakazał nowe wybory. Dawny minister *Bismark* zrobił to, że wszystkie mocarstwa muszą stać pod bronią i mieć jak największe siły wojskowe. Spadają stąd wielkie ciężary na narody, ale na razie nikt temu zapobiedz nie może. Odmówić ciężarów na wojsko, znaczy kraj i ludzi wystawić na największe niebezpieczeństwa. Posłowie, żeby się przypodobać wyborcom, mogą to zrobić, ale cesarz, który od powiada za naród cały, nie może zezwolić na to, żeby w razie nieszczęśliwej wojny spadły na naród jeszcze większe ciężary. Kiedy więc niemiecka Rada państwa sprzeciwiła się podwyższeniu siły zbrojnej, cesarz rozwiązać ją musiał. Polacy pod pruskim rządem zostający dobrze zrobili, że się rządowi nie sprzeciwiali i na jego żądania się godzili. Okazali tym sposobem, że nie prawdą jest, co zawsze nienawidzący nas Bismark powtarzał, że Polacy są wrogami państwa niemieckiego. Cesarz niemiecki zresztą, choć protestant, umiał uszanować Ojca św. i wobec Niego oświadczył, że byłoby wielkiem dobrodziejstwem, gdyby się można obejść bez wojen, gdyby był taki sędzia, któryby drażliwe sprawy między narodami bez rozlewu krwi załatwiał. Z tego widać, że nie dla siebie on pragnie wojska, tylko dla bezpieczeństwa swego narodu i państwa.

U nas, w Austryi, chwała Bogu, spokój, prócz tego chyba, że schyzmatycy, *masoni* i ich usłużnicy nie śpią.

Korespondencye „Krakusa".

Olchowce w powiecie sanockim 2 kwietnia.

Już to od dłuższego czasu miałem chęć wziąć za pióro i nakreślić chociaż parę słów moim Braciom po Chrystusie Panu o ludności w okolicy sanockiej; lecz brak czasu wolnego mi zawsze przeszkadzał, gdyż jestem w służbie takiej, iż w Boże Narodzenie i dzisiaj dopiero za przeszło pół roku służby jestem wolny.

Ludność w okolicy sanockiej składa się z różnej narodowości i wyznań, chociaż ta okolica stanowi część kraju katolickiego, a nawet i obecnie katolicy ją zamieszkują. Ten niebezpieczny żywioł różnej narodowości i wyznań występuje coraz to śmielej i groźniej przeciw katolikom i stara się na każdym kroku osłabiać naszą św. Wiarę. Pozyskał już wielu zwolenników po największej części z takich lekkoduchów, co się kochają w cylindrach wysokich, jak solówki, co noszą krótkie, kelnerskie surduciki i übercyery. Nie mniej też i włościanie tu i owdzie ulegli już zgorszeniu i zdemoralizowaniu przez złych ludzi, którzy szybko zakładają swoje sieci po wsiach w ten sposób, że zmawiają ludność wiejską na furmanki i wszelkie swoje usługi w dnie niedzielne i świąteczne, wyprowadzają ją na pijaków i marnotrawców, a potem nabywają od niej grunta i stają się panami. Ten straszny a mało widzialny wróg naszego św. Kościoła katolickiego niszczy naszych braci po Chrystusie Panu tak, jak mól niszczy suknie.

Wczoraj wieczór na Rezurekcyi w kościele parafialnym w Sanoku odbyła się procesya po rynku, wierni katolicy przepełnili kościół i nawet się nie pomieścili, a na rynku podczas procesyi było tyle ludzi, że w pochodzie doganiali pierwsi ostatnich, a od światła był taki widok w rynku, jak w pokoju od lampy. Serce mi się radowało na ten widok pobożnego ludu, jak również na widok wytrwałej pracy ks. Czaszyńskiego, kanonika z Sanoka, 80 letniego starca, który, jak każdego roku, tak i wczoraj po południu jeździł święcić, a wieczór od godziny 7ej do 9ej niezmordowanie nabożeństwo odprawiał i śpiew jego było słychać jak najdokładniej. Tak do ostatnich sił pracuje ten świątobliwy starzec, choć ma dwóch księży do pomocy. A zdziałał on już wiele i bardzo wiele dla tutejszej parafii. Nie było tu kościoła parafialnego i trzeba było mieścić się w cerkwi, później w klasztorze OO. Franciszkanów. Za staraniem ks. Kanonika, który musiał wiele pracować najpierw nad usunięciem różnych trudności i przeszkód, zbudowano kościół parafialny; zaprowadził potem ks. Kanonik Bractwo Różańcowe i już bardzo mało jest takich włościan, którzyby nie należeli do tego Bractwa. Owoc tej niezmordowanej pracy ks. Kanonika znać dobrze na wiejskim ludzie mimo złych podszeptów od niedowiarków pochodzących. Ale w mieście jest gorzej. Zeszłego roku zawiązało się tutaj w Sanoku w fabryce p. Kazimierza Lipińskiego jakieś dziwne stowarzyszenie „Siła". P. Kazimierz Lipiński, jako prawdziwy katolik i dobry Polak, powypędzał wielu tych nowatorów, a natomiast za staraniem inżyniera jakiegoś sprowadził skądś innych ludzi, ale czy lepszych? Na Rezurekcyi nie było tego widać.

Niechby oni zresztą byli, jakimi być chcą, byle nasi nie ulegali złym przykładom. Ale i to jest, ta słabość ludu jest gorsza od cholery, gorsza od wszelkich cielesnych zaraz i może doprowadzić do największego zrujnowania narodu; jeżeli się nie znajdzie taki

doktor medycyny, coby tej słabości zaradził. Wszystko to idzie jakoś powoli, bo miała wyjść ustawa ulepszona co do święcenia niedziel i świąt, miały władze polityczne czuwać nad tem, aby innowiercy nie przeszkadzali katolikom w spokojnem święceniu niedziel i dni świątecznych, ale dotąd nie widać żadnego polepszenia, owszem pogorszenie, bo innowiercy demonstrują, naród katolicki dowolnie bałamucą, a nikt nie stanie w jego obronie. Żydzi sprzedają w niedziele i w dnie świąteczne i prowadzą handle, jak prowadzili, tylko z tą różnicą, że dawniej bez pośmiechowiska, a obecnie z tym dodatkiem. Prawie każdy żyd ma koncesyę na sprzedaż cukru lub coś innego z wiktuałów, a sprzedaje także szczotki, skóry, żelazo, świece, mydło i t. p. w jednym i tym samym sklepie; więc mu jest wolno, bo on ma koncesyę na wiktuały, a inny w bławatnym sklepie, gdy już nie ma takiej koncesyi, to stoi za przypartemi drzwiami i nawołuje do sklepu bezbożników i szydzi tak z katolików, z ustawy i z władz miejscowych, które więcej powinny dbać o dobro katolików.

Dziwne rzeczy dzieją się tutaj w okolicy sanockiej i miałbym jeszcze wiele do opisywania, n. p. o gospodarce gminy Siczyny, ale dla braku czasu muszę na tem przestać, może kiedyindziej jeszcze co napiszę.

St. L.

Wiadomości i listy od Czytelników i Przyjaciół „Krakusa".

Łopuszka wielka. „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Przewielebny księże Redaktorze! Dziękujemy z całego serca i całej duszy *Krakusowi* za wspominek o naszym ukochanym, drogim paniczu ś. p. Władysławie Scipionie. Chcieliśmy to zaraz zrobić, ale straszny żal nie pozwolił nawet myśli zebrać. Bo któżby mógł więcej o nim wiedzieć, jak nie my tutejsi włościanie, cośmy od małego dziecka widzieli jego cnoty, szlachetne postępki i miłość dla nas wszystkich! Nie potrafię ja tego wypisać, co serce nasze czuje dla ś. p. panicza naszego. Kiedy przyszła wiadomość o jego śmierci, rozruch się stał wielki nie tylko u nas w Łopuszce, ale i po wioskach okolicznych; każdy płacze od małego dziecka do starca i pyta się: „Czy to prawda? Czy też to może być prawda?" O! mój Jezusie Najsłodszy, pokazało się, że prawda! Dnia 2go maja odprawiło się u nas nabożeństwo za spokój jego miłosiernej duszy. Odprawił je Przewielebny ks. kanonik Roman Olkiszewski, zeszło się na nie moc narodu, włościan, panów i cała służba. Mój Boże! myśmy nawet nie wiedzieli, jakeśmy go bardzo kochali! Znowu płacz był wielki, bo jakże tu nie płakać i nie żałować go, kiedy on, choć tak młody, był naszym Aniołem. Opiekował się nami, ratował nas we wszystkiem, z czem tylko się kto do niego udał, albo on sam dostrzegł. Tu nie ma miejsca, nie ma kącika, żeby po tym naszym ukochanym, drogim paniczu nie została jaka pamiątka. A na to wszystko, jak dziś człowiek popatrzy, to aż coś serce ściska, coś dławi człowieka i samo się płacze. Jabłko od jabłoni niedaleko spada. Pozostała też nam jedyna pociecha nasza, młodszy brat ś. p. panicza naszego Władysława, którego też bardzo kochamy, i w ciężkim dziś smutku do Boga wołamy, żeby nam go przy dobrem zdrowiu zachował.

Ś. p. Władysław niczego już od nas nie potrzebuje, niczem mu jego dobroci dla nas wynagrodzić nie możemy. Tośmy wszyscy jednomyślnie uradzili dać na nabożeństwo za jego duszę i pomodlić się za nim szczerze. Nabożeństwo to odbędzie się później, bo życzeniem naszem jest, żeby na tem nabożeństwie mogli być i jego kochani Rodzice, abyśmy tak wszyscy razem do Boga wznieśli modlitwy, jak razem jego śmiercią ciężko dotknięci jesteśmy. Upraszam w imieniu wszystkich Przewielebnego ks. Redaktora o wydrukowanie choć tych kilka słów, bo mój słaby rozum nie potrafi wyrazić wszystkiego, coby serce chciało i co czuje.

Jan Lis, stelmach.

Zabierzów koło Krakowa. Wieś ta roku zeszłego pożarem zniszczona już się, chwała Bogu, dźwignęła. Pobudowała nie tylko domy murowane, kryte dachówką, ale postawiła też i kaplicę kosztem kilku tysięcy, zorganizowała na nowo istniejące od trzech lat Kółko rolnicze, tak, że obecnie liczy 120 członków. Ci za staraniem Wgo ks. Proboszcza, miejscowego nauczyciela i Administratora dóbr WW. PP. Norbertanek założyli sklepik chrześcijański, a dnia 15 marca b. r. odbyła się wspaniała uroczystość. Prawie cała wieś z dziećmi szkolnemi zgromadziła się w tym dniu na poświęcenie sklepiku. Przewielebny ks. Konopnicki poświęciwszy sklep, przemówił w serdecznych słowach, polecając uczciwą i rzetelną pracę opiece gminy, która powinna, jakby jedna rodzina, starać się o własny interes w duchu chrześcijańskim. Podziękował potem p. Administratorowi za starania około założenia sklepiku i polecił, żeby włościanie, widząc w nim dobrodzieja i przyjaciela gminy, nie robili mu przykrości i szkody w gospodarstwie. Podziękował także p. nauczycielowi, który niezmordowanie pracował i pracuje nad dobrem gminy. Przemówił następnie p. nauczyciel i wzywał włościan, aby nie dawali się uwodzić i bałamucić szynkarzom i różnym ludziom złej woli, żeby w swoim sklepie chrześcijańskim wszystko kupowali. Rozdał nakoniec dla 250 szkolnych dzieci (aby pamiętały poświęcenie sklepu) Przewiel. ks. Konopnicki cukierki, administrator dóbr p. Pietrzak pierniki, a p. nauczyciel Myszal bułeczki. Sklep rokuje dobre powodzenie, gdyż lud otrząsa się powoli z tej niewoli wyzyskiwaczy, która wszędzie jest złą, ale gorszej od zabierzowskiej chyba nigdzie nie

było. Dodać jeszcze muszę, że mamy tu i Czytelnię, z której prawie cała wieś korzysta, także pisemka ludowe od WW. PP. Norbertanek posyłane. Oprócz tego Wny p. administrator urządza nam co święto i niedzielę w sali szkolnej wykłady i pogadanki, z których gospodarze i parobczaki korzystają i bodaj czy nie więcej jak od nieznajomego, wędrownego nauczyciela rolnictwa; gdyż widzimy we dworze wzorowe gospodarstwo; a przytem zna on dobrze nasze stosunki gospodarcze i rolne, a zatem i najlepiej pouczyć i doradzić potrafi.

Bartek od Bazgra.

NOWINY.

— **Rada miasta Tarnowa** nadała niedawno temu honorowe obywatelstwo Najprzewielebniejszemu ks. Biskupowi tarnowskiemu J. Łobosowi za szczodrobliwość i łaskawość dla miasta, zwłaszcza, że ten Najczcigodniejszy Pasterz odrestaurował prześlicznie Katedrę tarnowską, najpiękniejszy kościół w całej dyecezyi ofiarnością swoją, ofiarnością Duchowieństwa i dobrych ludzi świeckich. Cześć ludziom, co starają się i pracują, ale cześć i tym, co zasługi uznają.

— **Wielka strata.** Dnia 29 kwietnia umarł w Krakowie *Józef Bliziński,* znakomity pisarz polski, który lud wiejski serdecznie kochał. Cześć jego pamięci!

— **Nieszczęśliwy wypadek.** Dwie siostrzyczki: jedna 12-to a druga 14-to letnia, przechodzące w bród Skawę w Zembrzycach (pow. wadowicki) Rozalia i Agata Godawa, utonęły w dniu 28 kwietnia b. r. Ratunek 3-godzinny prowadzony umiejętnie przy pomocy lekarza z Suchej na nic się nie przydał. Pogrzeb odbył się w niedzielę po nieszporach (30 kwietnia) przy wielkim współudziale publiczności i dzieci szkolnych. Nieszczęśliwym rodzicom przesyła *Krakus* serdeczne współczucie.

— **Audyencya u Ojca św.** Jako szczególny dowód łaski Ojca św. dla Polaków, donoszą, że w czasie, kiedy tak trudno komukolwiek o audyencyę prywatną, Ojciec św. Leon XIII. w dniu 26 kwietnia b. r. przyjmował hrabstwa Łubieńskich, przedstawionych Mu przez J. Emin. ks. Kardynała Dunajewskiego, który sam naprzód miał długą z Ojcem św. konferencyę. Na tej audyencyi był hr. Kazimierz Łubieński, niegdyś właściciel ziemski na Podlasiu, z żoną, oraz hr. Julianowa Łubieńska, bratowa ś. p. Biskupa Łubieńskiego. Ród to zasłużony koło Wiary św.

— **Jego Eminencya Najprzewielebniejszy ks. Kardynał Dunajewski** powrócił w sobotę wieczorem do Krakowa w towarzystwie ks. kanonika Foxa, oraz ks. kanclerza konsystorza krakowskiego Anatola Nowaka i ks. kapelana Dembowskiego. Na dworcu powitała ks. Kardynała kapituła krakowska i wiele osób świeckich. Wśród bicia dzwonów wszystkich kościołów krakowskich udał się ks. Kardynał do swojej rezydencyi, pałacu biskupiego.

— **Ciężki smutek** dotknął hr. Ludwika Dębickiego, zasłużonego pisarza i gorącego katolika w Krakowie. Umarł mu syn najstarszy w młodzieńczym wieku.

— **Cholera.** W Buczaczu, we wschodniej Galicyi, prócz jednego, wykazanego poprzednio wypadku, nie zaszedł żaden nowy wypadek podejrzany. Do Buczacza wyjechał inspektor sanitarny Dr Lachowicz. W Kudryńcach przybyła jedna chora, mianowicie w domu już zapowietrzonym. Trzy osoby wyzdrowiały. Zresztą z powiatu borszczowskiego nie ma żadnych wiadomości. Natomiast w Smykowcach, w powiecie tarnopolskim, jest obecnie jeden chory wśród objawów bardzo podejrzanych. Na miejsce wydelegowano lekarza.

— **Odznaczenie.** Ojciec św. Leon XIII. nadał p. Jędrzejowi Moysa-Rosochackiemu, właścicielowi dóbr i komandorowi orderu św. Grzegorza, gwiazdę w brylantach tegoż orderu.

— **Moskiewskie porządki.** Jak donoszą pisma moskiewskie na kolei bałcko odeskiej znaleziono na torze nieprzytomnego człowieka. A to dlatego, że nieszczęśliwy, nazwiskiem Sołomejców, został wyrzucony przez konduktorów z wagonu podczas pełnego biegu za to, że nie miał, czy jak on utrzymuje, że zgubił bilet. Nieszczęśliwego, mocno potłuczonego, odstawiono do odeskiego szpitala.

— **Woda cudownej Matki Boskiej z Lourdes we Francyi.** W Egipcie, jak donoszą dzienniki francuskie, wielkie wrażenie wywołało wyleczenie wodą z Lourdes dawniejszego ministra egipskiego Mustafy-Femi-baszy. Mustafa-Femi długo chorował. Lekarze nie mogli przywrócić mu zdrowia i oświadczyli, iż śmierć musi nieodwołalnie nastąpić. Córka chorego Fatma, dowiedziawszy się o cudownem działaniu wody z Lourdes, udała się do kolegium jezuickiego z prośbą o dostarczenie jej tej wody. Prośbie uczyniono zadosyć. Wyuczono ją przytem odpowiednich modlitw chrześcijańskich. W ciągu dziewięciu dni Fatma gorliwie modliła się, dając ojcu do picia otrzymaną wodę. Dziewiątego dnia w chorobie nastąpiło przesilenie i niezwłocznie po niem polepszenie. Niebawem skazany na śmierć przez lekarzy chory odzyskał zupełnie zdrowie. Zdarzenie to wywarło wielkie wrażenie wśród całej ludności Kairu. Wielu mahometan przyjęło katolicyzm.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. J. M. w Krze... Na co to wszystko? Trzeba było na to powiedzieć: „U wołu gęba wielka, ale cóż kiedy mówić nie umie“. Pięknie Was pozdrawiamy.

P. J. L. w Łopuszce. Bóg zapłać za list. A jak to nabożeństwo się odprawi, to napiszcie znowu do *Krakusa,* który Waszego ś. p. panicza też przeboleć nie może. Pozdrawia *Krakus* najserdeczniej całą Waszą parafię, a ks. Kanonikowi głęboki składa ukłon.

P. W. K. w D. Przepadło, kochany gospodarzu! Trzymajcie się przysłowia: „Kiedyś nie wójt, to sprawy nie rób“.

Wieńcowi chętnie *Krakus* odpowie na zadane pytanie, jeżeli *Wieniec* pozwoli zadać sobie także kilka pytań. Na pozwolenie będzie *Krakus* czekał. Że *Krakus* jest z pochodzenia chłopem, to prawda, i tego się on nie wstydził nigdy i nie wstydzi, a z jego pisania to widać. Ojciec jego był wójtem (znali go dobrze ludzie między Wisłą i Sanem), brat jest na wsi gospodarzem, a on sam, jak umie, tak narodowi służy. We wszystkiem zresztą, co *Wieniec* mówi i jego *Pszczółka,* tyle jest prawdy, ile w tem, jakoby *Krakus* do chłopów pi-

sywał, a od nich listów nie otrzymywał. Kochani Czytelnicy *Krakusa* najlepiej to wiedzą.

P. W. Sz. w Św. Piękne pozdrowienia i podziękowania za pismo i wierszyki, które w *Krakusie* się znajdą.

P. Walentego Bigaja, gospodarza z Frywatlu, bardzo *Krakus* przeprasza, że pisma jego dotąd nie wydrukował, poszło to stąd, że pismo to na razie się zarzuciło między *Krakusowemi* papierami. Będzie wnet wydrukowane, a tymczasem serdeczne pozdrowienia. A co tam nowego słychać?

P. M. D. w Kr. Niech pan idzie za pierwotnem swojem powołaniem, zdatności do tej roboty nie ma pan żadnej. Jest to *niepróżnujące próżnowanie*, a zatem grzech!

P. J. R. w P. Taka wola Boża! Wieczne odpoczywanie, racz mu dać Panie! A napiszcie też co o tym szanownym gospodarzu! *Krakus* to wydrukuje. O poczciwych ludziach niech ludzie wszędzie wiedzą. Pięknie Was pozdrawiamy.

P. P. P. w Kop. Serdeczne podziękowania i po zdrowienia; list umieścimy w najbliższym numerze.

P. P. C. w Z. Stokrotne podziękowania!

Do tych kolegów, którym się Krakus podoba. Niektórym wydawcom pism tak się *Krakus* podoba, że jego powiastki sobie przedrukowują i nawet nie wspomną, że to z *Krakusa* biorą. Braciom koło Gdańska i na Szląsku pod rządem pruskim, gdzie nasza droga mowa w takiem uciemiężeniu, *Krakus* tego za złe nie ma: niech biorą, co się im tylko spodoba, ale pisma krajowe powinny przynajmniej powiedzieć, że to z *Krakusa*.

Ceny zboża
(z targu na Kleparzu).

Kraków 9 maja.

Płacono: za pszenicę białą od 8 złr. 60 ct. do 9 złr. — ct., za czerwoną od 8 złr. 35 ct. do 9 złr. — ct., za żółtą od 8 złr. 35 ct. do 8 złr. 90 ct., za żyto od 6 złr. 85 ct. do 7 złr. 25 ct., za jęczmień browarny od 5 złr. 85 ct. do 6 złr. 25 ct., na kaszę od 5 złr. 50 ct. do 5 złr. 70 ct., za owies od 6 złr. 30 ct. do 6 złr. 75 ct., za rzepak od — złr. — ct. do — złr. — ct., za koniczynę czerwoną od — złr. do — złr., za białą od — złr. do — złr. — Wszystko za 100 kilogramów.

Kalendarzyk tygodniowy.

Dnia	Święta rzymskie	Wschód słońca god.	Wschód słońca min.	Zachód słońca god.	Zachód słońca min.
14	*Nied. 6 po W. N. P. Łask.* Bonifac.	3	54	7	16
15	Pon. Zofii i trzech jej córek.	3	52	7	18
16	Wt. Jana Nepom. i Ubalda b.	3	50	7	19
17	Śr. Paschalisa w. i Torpeda m.	3	49	7	20
18	Cz. Feliksa Kap. i Eryka kr.	3	48	7	22
19	Piąt. Piotra Cel. i Pudencyanny.	3	47	7	24
20	Sob. *Wig.* Bernardyna Sen. w.	3	46	7	26

Odpowiedzialny redaktor i wydawca:
Ksiądz Wawrzyniec Oprzędek.

Nakład i własność „Spółki wydawniczej polskiej w Krakowie, zarejestrowanej z ograniczoną poręką".

W Krakowie, w drukarni „Czasu" Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarządem Józefa Łakocińskiego.